



Zdjęcia: Jacek Pałkiewicz

Wojownik ze szczepu Bausi daje pokaz kunsztu myśliwskiego

Kolacja z Papuasami

Teraz gdy ktoś mnie zapyta, gdzie jest koniec świata, będę już wiedział... jestem niemal u kresu sił i z radością witam punkt docelowy.

JACEK PAŁKIEWICZ

Po kilkudniowej podróży rzeką Mamberamo i przez las tropikalny natykamy się na plantację sagowców dostarczających głównego pożywienia Papuasom. To znak, że wchodzimy w krąg wpływów *homo sapiens*. I rzeczywiście, 10 minut potem trafiamy na małą osadę. Grupa tubylców

przypatruje się nam w milczeniu, nie zdradzając żadnych emocji. Są średniego wzrostu, szczupli, ich ciemna skóra błyszczy w słońcu, a kręcone włosy strzelają w niebo lub wiją się wzdłuż policzków. Nagość jest tutaj rzeczą zupełnie normalną. Jedynym przyodziewkiem mężczyzn jest opaska wokół bioder, a kobiet – spódniczka z rafii.

Chwila milczenia trwa. One, nasz przewodnik, wcale nie rzuca się do tłumaczenia, kogo to przyprowadził. Mężczyźni stają w półkołu, każdy z jakąś bronią w dłoni. Maczeta, łuk, dzida, kij, a dwóch najstarszych ma przerzucone przez ramię słynne kamienne topory. Wojownicy o dzikim

wyrazie twarzy wyglądają naprawdę groźnie. I chociaż One zapewnił wcześniej, że ta wspólnota już od pewnego czasu nie zajmuje się polowaniem na ludzkie głowy i coraz rzadsze są tutaj właśnie międzyplemienne, w których padają ofiary, napięcie i niepewność są wręcz namacalne.

W pewnej chwili, niejako z rozpędu, przez szpaler mężczyzn przebiega szeroka w ramionach kobieta. Zatrzymuje się trzy kroki przed nami, przyglądając się nam jak cyrkowym małpkom. Napięcie się rozładowuje, gdy przygięta i pomarszczona kobieta z lekko rozchylonymi ustami, wyglądająca na dobre 60 lat

– choć z pewnością nie przekroczyła jeszcze czterdziestki – zbliża się do mnie, unosi wzrok i dotyka mojego ramienia. Dostrzegam, że brakuje jej małego palca, jest ucięty w połowie. Przypominam sobie, co czytałem o dawnej tradycji pogrzebowej kulturowanej w plemienu Bausi: po śmierci bliskiej osoby amputuje się jeden palec jako poświęcenie części siebie. Oto mam jej przykład. Kobieta opuszcza rękę, potem głaszczę moją dłoń. Po krótkiej chwili oddała się zmieszana, ale gest ten wystarcza na przełamanie niedostrzegalnej bariery, która nas rozdzielała.

Pojawia się, stojący dotąd nieco z tyłu, imponującego wzrostu wojownik. Oczywiście imponującego jak na nich, bo sięga dobrych 165 cm. Wygląda naprawdę groźnie. Krótkie kręcone czarne włosy z wpiętymi dwoma wielkimi kolorowymi piórami otacza opaska, w którą nad brązowym czołem zatknięty jest rodzaj futerka stanowiącego coś w stylu fineryjnej treski. Spod tej kitki wзира dwukolorowa twarz: jej prawa strona lśni czernią, lewa zaś jest niemal biała. Wódz po prostu posmarował policzki, wąż i brodę dwiema maziemi czy błotami różnych odcieni. Najbardziej imponujące są jednak dwa długie, na dobre 10 cm, kły jakiegoś dzika, wmontowane chyba na stałe. Ich białe zakręcone szable sięgają skroni, upodabniając wojownika do dzikiego stwora. Jedynym zgrzytem – z naszego punktu widzenia – w tym spójnym, pełnym grozy obrazku jest różowy kwiatek zatknięty niedbale za lewe ucho.

Przekonawszy się, że mam do czynienia z wodzem szczepu, tradycyjnie wyciągam dary: maczetę, noże, woreczek soli. Mam zwyczaj przywozić rzeczy, które będą przydatne, a przy tym nie wniosą chaosu w tę małą cywilizację. Mężczyzna ogląda prezenty, kiwa głową z wyraźną akceptacją i z godnością zaprasza nas do wnętrza okrągłej chaty z paleniskiem.

– Teraz gdy ktoś mnie zapyta, gdzie jest koniec świata, będę już wiedział – ocieram z uśmiechem pot z czoła i rzucam w kąt swój wór. Ocieram, bo zalewa mi oczy, z uśmiechem,

bo tego wymaga sytuacja. Jako szef wyprawy muszę dawać przykład. Podobnie jednak jak moi ludzie jestem niemal u kresu sił i z radością witam punkt docelowy.

One krąży wokół mnie i pochrząkuje niecierpliwie.

– A, jasne! – przypominam sobie i wyciągam jego zapłatę – nóż myśliwski.

Lokalny przysmak to przyniesione prosto z lasu wijące się, grube jak kciuk białe larwy z czarnymi łebkami.

Chłopak porywa go, pokwikuje z radością, i znika w otworze chaty. Mam nadzieję, że nie jest już w drodze do swojego domku – chcemy z jego pomocą za kilka dni trafić tam z powrotem, by spłynąć naszą tratwą do cywilizacji.

Ponieważ nikt nie biegnie do nas z posiłkiem, zjadamy szybkie dania, które przynieśliśmy ze sobą,

i wyruszamy na zwiedzanie wioski. Początkowo towarzyszy nam tłum, potem wykruszają się mężczyźni, wreszcie i kobiety wracają do swoich zajęć. Wiernie towarzyszą nam tylko dzieci, dla których jesteśmy niekończącą się atrakcją.

Z przechadzki wynika, że miejscowa ludność, która żyje z uprawy słodkich ziemniaków, używa bambusa do sporządzania pojemników na wodę, włókna roślinnego jako sznurów i okrycia, z pochryznu wytwarza maty i kaptury przeciwdeszczowe, a z trzciny – strzały do łuków. Jedynymi zwierzętami domowymi okazują się świny, bardzo podobne do tych europejskich. Są tutaj nie tyle źródłem pożywienia, ile towarem wymiennym. Często są niezbędne w różnych relacjach społecznych, przy łagodzeniu sporów czy zawieraniu układu pokojowego. Dowiadujemy się, że co kilka lat, kiedy zgromadzi się więcej świń w wiosce, naczelnik ogłasza trwające tydzień święto „mauwe”. Zaprzestaje się →



Spływ rzeką Mamberamo w Papui Zachodniej na wyspie Nowa Gwinea

→ wtedy wszelkich walk, ustaje praca, chłopców i dziewczęta poddaje się ceremonii inicjacji, po której mogą już na pełnych prawach uczestniczyć w życiu plemiennym. Święto to jest także okazją do zawierania małżeństw.

Plączemy się już pojedynczo, podglądając życie tubylców. W jednej z chat dostrzegam bardzo starą tarczę, którą właściciel jest gotów wymienić na nóż. Wkrótce przed naszym domkiem defiluje sporo osób, proponując na sprzedaż wiele oryginalnych przedmiotów. Tak więc staję się posiadaczem kilku bardzo wartościowych drewnianych posągów, łuków z kompletami strzał i oryginalnego totemu. Kolekcja wzbogaci zbiory mojego prywatnego muzeum etnograficznego, w którym znajdują się okazy o wartości zabytkowej i artystycznej, mogące wzbudzić apetyt nawet najbardziej prestiżowych instytucji tego rodzaju.

Przyglądam się, jak jeden z mężczyzn z wielką wprawą rąbie kamiennym toporem drzewo, rozszczepiając je na mniejsze fragmenty. Okazuje się, że jest on rodzajem szamana. Otwarta uniesiona dłoń oznacza to samo, co u nas: czekaj. Czekam więc. Dołączają do mnie pozostali towarzysze i całą czwórką jesteśmy świadkami, jak z plecionej bambusowej chaty krytej słomą szaman z namaszczeniem wynosi szerniałą mumię! Postać, najwyraźniej bardzo lekka, siedzi w kucki, ręce ma opuszczone wzdłuż ciała, a wieczny niemy krzyk wydobywa się z jej rozwartej szczęki. Głowę otacza rodzaj aureoli wykonanej z plecionych włókien i zamontowanej tuż nad czarnymi oczodołami. Postać upiększa słomiany krawat – i to całe odzienie petryfikowanego przodka.

Przed wieczorem przygotowujemy nasze wiszące domki. Specyfika hamaków dżunglowych polega na tym, że dzięki przywiązaniu do przeciwnych drzew kilku linek i gum tworzy się rodzaj osłoniętej dachem kabiny zapinanej na zamek. Jej ściany tworzy gęsta siatka moskitier, a podłogę – silna płachta. Sen jest bronią – powiadają komandosi

jednostek specjalnych. Od półwiecza sam sprawdzam moc tego przysłowia. Zmęczenie, ból, skrajne wyczerpanie, przegrzanie pojawiają się podczas wędrówki. Możliwość odpoczynku w suchym, ciepłym śpiworze, w poczuciu bezpieczeństwa, regeneruje siły i pozwala stawić czoła wyzwaniom kolejnego dnia.

Na kolację dostajemy wybór i jak jeden mąż sięgamy po ryż pieczony w ognisku, ze złamanego bambusa robiąc sobie zupełnie wygodne łyżki. Alternatywą był lokalny przysmak – przyniesione prosto z lasu wijące się, grube jak kciuk białe larwy z czarnymi łebkami.

Zdziwieni, że pogardzamy takim przysmakiem, tubylcy rozdzielają ruszające się delikcje między siebie. Patrzą bez zazdrości, jak wkładają larwy do ust i ściskają je białymi zębami tak mocno, że pęka powłoka i biały płyn rozlewa się w ustach. Jedyne, co tu nie pasuje, to mina błogiej rozkoszy, która rysuje się na twarzy każdego z larwopożeraczy. Cóż, smacznego. **n**

JACEK PAŁKIEWICZ
reporter, eksplorator



Zdjęcia: Jacek Pałkiewicz

Papuas przyozdobiony na lokalne święto



Sztuka upiększania